

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

13

Korf posunął ku niej leżący na stole plik aktów Wielohradzkiego i dodał:

— Uważam za rzecz właściwą i konieczną, położyć tamę wybrykom wiecznej młodości hrabiego, nie chcę jednak, aby dziś lub kiedykolwiek ojciec twój stał się zależnym od twego męża. Niech tobie jednej zobowiązaniem zostanie... nikomu więcej! Oto są papiery, odnoszące się do wszystkich interesów, jakie kiedykolwiek prowadził. Stajesz się jego jedynym wierzycielem.

— Co mam z nimi zrobić? — rzekła Zofia wzruszona.

— Nic. Pro prostu zachowasz je u siebie. Hrabia dowie się odemnie, że musi uszanować twój spokój. Położenie jego zresztą będzie bardzo zadawalające, wyznaczam mu bowiem pewien stały procent z rocznych dochodów mego banku. Nie ośmieli się już nachodzić cię, jak to uczynił niedawno...

— Wiesz o tem?

— Wiem... i nudzić cię sprawami pieniężnymi, o których nie masz pojęcia, bo przedewszystkiem są ci niemiłe... Co zaś do nas, nie będziemy o nich mówić wcale.

— Postępujesz jak prawdziwy szlachcic — szepnęła Zofia zakłopotana — nie wiem, jak mam ci podziękować...

On ucałował jej rękę i wyszedł.

Młoda kobieta dłuższy czas nie mogła poruszyć się z miejsca, zahypnotyzowana widokiem aktów przed nią leżących, a zarazem przynębiona wspaniałomyślnością męża. Nie imponowała jej ofiara milionowa, lecz raczej delikatność, z jaką uczynił ją niezależną, dając przewagę nad ojcem utracyuszem. Chociaż nie miała żadnego doświadczenia w interesach, nieraz już truchlała myśląc, że hrabia, pozbywszy się środków do wykwinnego i zbytkownego życia, zaciąga się powtórnie w mętne spekulacje i przez nie popadnie znów w ciężkie kłopoty. Poczem przyjdzie ją błagać, by dla niego wymogła pomoc u barona.

Korf, dla którego akta Wielohradzkiego mogły w przyszłości stanowić skuteczną broń, chroniącą go od wyzysku, dobrowolnie wypuszczał ją z ręki, wierny przyrzeczeniu, że tylko sercem zdobędzie miłość żony...

Nieszczęśliwa czuła się tym czynem przykutą do niego na zawsze. Pomimo, że ani na chwilę nie opuszczająca jej umysłu wizja chorego, leżącego w ogródku na przedmieściu, ciągnęła ją ku sobie całą potęgą niepokoju o życie i zdrowie umiłowanego, w ciągu kilkunastu dni z rzędu nie śmiała wyruszyć z domu, by udać się na Pragę i ujrzeć go choćby z daleka, choćby tylko przez szpary parkanu.

Wybladła, o melancholijnym wyrazie twarzy Zygmunta, przesuwająca się jednak wciąż przed jej oczami. Zrozumiała, że zrezygnowany zgodził się cierpieć w milczeniu, żeby nie zakłócać jej spokoju. Prawdopodobnie dowiedział się z dzienników o jej małżeństwie i w chwili właśnie, gdy ślub się odbywał, owładnięty momentalnym szaleństwem, chociaż już prawie z ran wyleczony, przybiegł do kościoła Św. Józefa, gdzie wzruszenie i rozpacz o mało go nie zabiły...

Dwadzieścia razy dziennie siadała Zofia do napisania listu, w którym chciała mu wytłumaczyć swoje postępowanie, lecz za każdym razem list zaczęty darta lub paliła, a niepokonane pragnienie zobaczenia Zygmunta przyprawiało ją o ból serca nieznośny.

Pewnego dnia nareszcie, niezdolna walczyć z sobą dłużej, postanowiła pójść na Pragę. Przed wyjściem uprzedziła męża, że powróci późno.

— Jeśli idziesz wspomagać potrzebujących — odparł ze zwykłą uprzejmością — nie żałuj pieniędzy, bo w tych dniach zrobiłem bardzo korzystny interes, który pozwala ci być szczodłą.

Zaraz po dwunastej w południe znalazła się już Zofia na Pradze. Powzięła szalony zamiar: chciała przez jednego z sąsiadów wywołać Protazego z dworka i zapytać go, czy Zigmunt może ją przyjąć. Uprzedzającego o tem listu do ukochanego nie napisała, mniemała bowiem, że najwyświej nawet nakreślona ćwiartka papieru nie objaśni go należycie o wszystkim, gdy przeciwnie słodkie słowa wleją balsam ukojenia w rozżalone

serce. Namówi go, żeby się poświęcił, jak ona się poświęca... uspokoi, podniesie na duchu.

Gdy stanęła przed dworkiem, spotkała ją nie-miła niespodzianka. Wszystkie drzwi były zamknięte... Zbliżyła się do parkanu i całą swą postać uniosła nieco w górę na palcach, żeby zajrzeć do ogródka. Ujrzała ścieżki nie wygracowane; trawę, kwiaty i krzewiny rosnące jak Bóg dał. Nie znać na nich było pielęgnującej je ręki... Wśród licznych szeregu doniczek, stojących pod ścianą południową, brakło krzaku róży bengalskiej. Przytłoczona ciężarem niepewności, oparła się Zofia o parkan i rozplakała. Po chwili jednak oświeconą wzruszeniem i postanowiła wreszcie zadzwonić.

Drut, wiszący u drzwi wchodowych, szarpnięty jej ręką kilkakrotnie, drgał wprawdzie i szeleścił, lecz nie dzwonił. Z dworku obok wyszła kobieta w podeszłym wieku, nędznie odziana i zwróciwszy się do Zofii, rzekła:

— Oni proszę panią wyjechali.

— A! — odpowiedziała Zofia, starając się głosem swemu nadać ton bezwzględnej obojętności. — Czy nie wie pani dokąd?

— Nie wiem. Nikt tu prawie ich nie znał, bo chociaż panicz nie był dumny i kłaniał się ludziom grzecznie, nigdy jednak z nikim w rozmowę się nie wdawał, a starsza pani nadymała się jak paw jaki i pogardzała nami biedakami. Kucharka niemowa; zaś stary sługa mruk, jakich mało, gwarzył jeno czasem z rybakami, nigdy przecież o swoich chlebobawcach...

— Wynieśli się pewno, żeby ranny miał ulgę w chorobie? — pytała Zofia drżąca.

— Może być proszę pani. Tak, tak, słyszałam nawet, gdy wyjeżdżali, jak doktor mówił, że zmiana powietrza ma go do krzty wyleczyć... Jednakże bardzo bledziuchny był jeszcze, moja panienko.

— Czy w tutejszej dzielnicy nie wie kto, jaki jest ich nowy adres?

— O nie!... Za nic w świecie nie daliby go nikomu, bo powiadam, że mruki wszyscy i znajomości na Pradze żadnych nie mieli. Przecie codzień patrzyłam i słuchałam, więc wiem dobrze... Jeśli jednak panią przysła z rachunkiem po swoją należność, to bać się nie trzeba. Oni sami się zgłoszą, bo już co uczciwi, to uczciwi! Wszystkim gotówką płacą... nikogo na grosz nie zarwali!

Zofia wróciła do domu zrozpaczona. Trudziła się napróżno.

IV.

Szczęśliwy ojciec.

Znużona i z sił wyczerpana położyła się w małym saloniku na kanapie. Korf, który przyszedł ją zawiadomić, że już wazę podano, zauważył, że ma trochę gorączki. Chciał posłać po domowego lekarza, lecz Zofia nie zgodziła się na to. Myślała sobie: „Co mi lekarz pomódz może?“

Wieczorem stan jej zdrowia pogorszył się znacznie. Odczuwała nietylko przynębienie moralne, lecz także pewną fizyczną ociążałość, nad którą, pomimo energicznych usiłowań, zapanować nie zdołała... Mąż odprowadził ją do sypialni, a panna służąca rozebrała i położyła do łóżka. Nie miała obecnie żadnego innego pragnienia, jak tylko leżeć i w spoczynku zapomnieć o wszystkim.

W nocy spała źle. Sen jej przerywały kilkakrotnie duszności i spazmy. Zrywała się kiedy niekiedy z łóżka cała drżąca. Nie chciała jednak zadzwonić na pokojową, bo była pewna, że ta wezwie do niej męża. Usnęła dopiero nad ranem, lecz już w godzinę potem zbudziła ją ciężka duszność w piersi. Od miesiąca miewała dość częste palpitacje serca; zauważyła nawet, że ciało jej przybierało nieco odmienne od zwykłych kształty, nie dziwiło to jej jednak, bo przecież, gdy dusza chora i ciało cierpieć musi. Nigdy jednak nie czuła się zgnębioną do tego stopnia, jak obecnie.

Baron przyszedł około dziewiątej dowiedzieć się, jak się miewa i stanem jej zaniepokoił się mocno.

— Pozwolisz mi moja droga — rzekł baron — zawezwać doktora Michała Marcza. Jest to lekarz wprawdzie jeszcze młody, lecz już bardzo ceniony w Warszawie, ja zaś w szczególności pokładam wielką ufność w jego wiedzy i niepospolitych zdolnościach.

Zofię przejęły nagle dreszcze.

— Nie ulega wątpliwości, że masz gorączkę — mówił Korf dalej — trzęsiesz się cała... Śliczna twoja rączka jak żar rozpalona... Sądzę, że Marczak swoim zwyczajem wymyślać będzie na Warszawę, której nie lubi i każe nam wyjechać na wieś, albo zagranicę. Potrzebujesz widocznie odechnąć świeżym powietrzem pól i lasów... Wszak-

że mnie upoważniasz, abym posłał zaraz po doktora?

Zofia skinęła głową na zgodę.

I ona, chociaż nie znała Marcza, miała w nim ufność, wiedziała bowiem, że to przyjaciel Zygmunta. Milcząc myślała: „Gdybym ośmieliła się zapytać go o niego, dowiedziałabym się może nareszcie, co się dzieje z moim ukochanym i gdzie teraz przebywa“.

Pod wieczór Korf przyprowadził doktora do tak zwanego „dziewiczego“ pokoiku żony. Podaniem ręki powitała go Zofia uprzejmie. Lękała się nieco, czy jej nie pozna, bo może Zigmunt odkrył przed nim tajemnicę swojej miłości, lecz wkrótce wyczytała w jego spokojnym wzroku, że umiłowany nie mówił z druhem o niej wcale. Zrozumiała, że jest dla lekarza tylko zwyczajną chorą, jak wszystkie inne, do których go wzywają.

Marczak z właściwym sobie trochę rubasznym humorem rozpoczął badanie.

— Co to ma znaczyć? Taka młoda mężateczka, a już mężowi chce sprawić przykrość, leżąc na taki piękny czas w łóżku?!

Przytem trzymał ją za puls i wpatrywał się w jej oczy, żartobliwie pytając o rozmaite rzeczy. Nadto niby od niechcenia przyglądał się jej kibi-ci i łonu, uwydatniającemu się dość wyraźnie pod batystową koszulą.

Wreszcie roześmiał się głośno.

— Niema czem niepokoić się dzisiaj — rzekł, zwracając się do barona. — Winszuję, winszuję! To się nazywa szybko zabrać się do rzeczy...

— Nie rozumiem pana — szepnęła Zofia rumieńcem oblana.

— Ba! — odparł Marczak — bo pani jeszcze nie nabrała potrzebnego doświadczenia! Ale i doświadczenie przyjdzie z czasem... No, no! nieco starań niezbyt nużących, chociaż baczących, wystarczy jak na teraz zupełnie... Przytem radzę wyjechać z miasta. Warszawa niewiele warta dla młodych matek... Pomówimy o tem z mężem pani.

Protekcjonalnie poklepał barona Korfa po ramieniu.

— Szczęśliwy ojciec z barona!... Ale, ale, co się panu stało? Czy to radość wprawia go w febryczne drżenie?... Nie trzęs się, tylko ucałuj żonę! To robią zwykle młodzi mężowie, gdy im lekarz zwiastuje pierwszą dobrą nowinę.

Korf stał ościupiały, zwracając wzrok pełen lęku na doktora. Pytał się siebie: czy ten człowiek, słynący z głębokiej wiedzy, nie myli się w swej dygnozie, wypowiedzianej tak szybko, wesoło i swobodnie.

Zofia, przerażona, z oczami, w których migotał szal i niepokój naprzemian, skrzyżowała ręce na łonie, jakby bronić i zasłonić je chciała. Lekarz, nie domyślając się niczego, przyglądał się obojętnie, niż przed chwilą. I on, wobec zdziwienia i przestachu, malującego się w ich oczach, mimo-woli w duchu zadawał sam sobie pytanie: czy nie myli się przypadkiem? Lecz nowe badanie rozproszyło wszelkie wątpliwości. Więc rzekł znowu z uśmiechem:

— Nie pozostaje mi nic więcej, jak życzyć państwu pięknego i zdrowego chłopca.

Baron opamiętał się w jednej chwili. Zrozumiał, że gdyby wahał się jeszcze choć minutę, upokarzająca tajemnica jego małżeństwa ujawniłaby się przed Marcza, a przez tego może przed całym światem. Pochylił się zatem nad łóżkiem i po raz pierwszy ucałował Zofię w czoło, mówiąc prawie spokojnym głosem:

— Ja zaś życzę ci naprzód córki, żebyś w niej pozyskała godną siebie towarzyszkę.

Zofia zamknęła powieki. Mąż jej tymczasem wyprowadzał doktora z pokoju. Zaledwie pozostała sama, odkryła koldrę i obląkanym wzrokiem spoglądała na grubiejące już nieco kształty swojego ciała. Potem jęła:

— Trzeba umrzeć... umrzeć muszę! On mnie zabije... ma do tego prawo!

Korf, panując już nad sobą zupełnie, wprowadził Marcza do pracowni za oranżeryą. Usprawiedliwiał i tłumaczył mu teraz swoje zdziwienie.

— Czy nie zauważyłeś doktorze, że każdy mąż pewien czas po ślubie widzi w swojej żonie przedewszystkiem tylko dziecko... tylko panią? Myśl, że baronowa za kilka miesięcy może zostać matką... powiem ci szczerze... przerażała mnie w pierwszej chwili. Powiedz mi z łaski swojej, jak dawno zaszła w stan błogosławiony?

— Pyszne pytanie! Wszakże już blisko trzy miesiące upłynęło po waszym ślubie? Czytałem o nim w dziennikach, ale daty ścisłej nie przypominam sobie... Zwyciężyłeś widocznie sławny tryumfatorze natychmiast... Więc trzy miesiące... inaczej przecie nie byłbym spostrzegł tak łatwo!